

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.

$\frac{1}{2}$ " — 40 "

$\frac{1}{4}$ " — 20 "

$\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

I znów musimy przeproszać naszych czytelników z powodu długiej przerwy w wydawnictwie. Tym razem spowodowała ją przewlekła i w końcu obłężna choroba redaktora naszego pisma, którego niema komu zastąpić w pracy redakcyjnej.

Od ośmiu lat pismo spoczywa na barkach jednej osoby i tylko szczęśliwym trafem dotąd ani razu nie zostało narażone na taką ewentualność, jaka je obecnie wreszcie spotkała.

Nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników, wydajemy numer niniejszy, mimo że pozostawia on wiele do życzenia zarówno pod względem treści, jak formy. Po całkowitym powrocie do zdrowia redaktora, postaramy się powetować nieuniknione braki — ilościowe i jakościowe.

Falszywe założenie.

Dziesiąta rocznica zdobycia Wilna przez oddziały legjonowe, mimo uroczystego obchodu, nie wywołała większego wzruszenia w tłumach wileńskich, nie obudziła nawet żywszych wspomnień. Obchód miał charakter urzędowy; banalne przemówienia i szablonowe artykuły w pismach zawierały zresztą więcej aluzji do aktualnych pretensyj litewskich, niż reminiscencji związanych bezpośrednio z rocznicą.

Jedynie artykuł okolicznościowy p. Testisa w „Kurjerze Wileńskim” p. t. „Serce kraju” ujął temat głębiej i poruszył palące zagadnienie, natarczywie domagające się rozwiązania od pierwszej chwili, gdy wojsko polskie wkroczyło do Wilna. Zagadnienie to dotyczy wypływającego z posiadania Wilna obowiązku zjednoczenia rozdartego przez obcych i swoich żywego organizmu, którego Wilno jest sercem.

Doniosłość bowiem zajęcia Wilna przez siłę zbrojną polską w dniu 19 kwietnia 1919 r. tkwi nie

w triumfie militarnym nad zdemoralizowaną i rozprężoną załogą bolszewicką, lecz w politycznych konsekwencjach, jakie wynikły z tego brawurowego epizodu.

Wynik efektowny wyprawy wileńskiej w związku z zachowaniem się ludności miejscowej, witającej Piłsudskiego jako wybawcę od jarzma bolszewickiego wpłynął decydująco na kierunek polityki polskiej, która od tej chwili włączyła Wilno do zakresu swych bezsprzecznych postulatów narodowych, wkraczając definitywnie na drogę aneksji, o czym nie było jeszcze mowy wtedy, gdy Naczelny Wódz ogłaszał w czterech językach krajowych swą słynną odezwę do mieszkańców b. W. Ks. Litewskiego.

Zajęcie Wilna przez wojsko polskie, chociaż wymierzone przeciwko Rosji, pośrednio również miało charakter aktu nieprzyjawnego względem Litwy, której prawa do prastarej swej stolicy wówczas jeszcze nie były, tak jak dziś, stanowczo negowane nawet w kołach endeckich. Kwestja granic wschodnich powstającego państwa polskiego w owym czasie w samym społeczeństwie polskim była pojmwana nader rozmaicie, nie mówiąc już o stanowisku mocarstw sprzymierzonych, niechętnie zapatrujących się na ekspansję państwowości polskiej poza t. zw. linję Curzona.

W warszawskich sferach politycznych zagadnienie Litwy i Białorusi większego jeszcze zainteresowania nie budziło, mimo usilnej agitacji uchodźców z Wilna i Mińska, i opinja publiczna dość obojętnie traktowała wypadki, jakie się działy na ziemiach litewsko-białoruskich. Z pamięci politycznie myślącego ogółu jeszcze nie ulotniła się deklaracja wszystkich stronnictw polskich z maja 1917 r., uznająca bez zastrzeżeń prawo do „niepodległego bytu państwowego dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego”.

Pod wpływem nieoczekiwanych sukcesów pań-

stwowych w stosunku do zaborów niemieckiego i austriackiego zaczęły wprawdzie ulegać ewolucji również poglądy na problem granic wschodnich, wszakże nikt jeszcze na serjo nie myślał o rozszerzeniu ich aż poza Wilno. Dopiero śmiały i uwieńczony powodzeniem czyn Piłsudskiego otworzył przed oczami olśnionych tym niespodziewanym triumfem tłumów szerokie perspektywy i w kierunku północno-wschodnim.

I na tem polega właśnie doniosłość zdobycia Wilna w d. 19 kwietnia 1919 r. Przekreśliło ono dotychczasowe koncepcje, oparte na tradycjach historycznych oraz będące wyrazem uświęconych formułek demokratycznych i zainicjowało nowy kurs w polityce polskiej, który trwa dotąd bez zmiany, a który doprowadził między innymi do ostatecznego zaostżenia stosunków z Litwą.

Tylko nieliczni politycy polscy nie aprobują tego kursu, rozumiejąc, że jednostronne załatwienie przez Polskę spornej kwestji wileńskiej wytwarza obecny stan ciągłego zaognienia, ciąglej niepewności, wymagającej znowuż nieustannej czujności i gotowości do obrony.

Do nich należy do pewnego stopnia redaktor „Kurjera Wileńskiego”, który słusznie pisze, że posiadanie Wilna — to wzięcie na siebie wielkiego, przez logikę dziejów imperatywnie nakazanego obowiązku zjednoczenia całego kraju, całego terytorjum W. Ks. Lit. Ale zjednoczenie to jest niemożliwe bez porozumienia polsko-litewskiego. A o tem nie myślą poważnie nie tylko odpowiedzialni kierownicy nawy państwowej, ale nawet p. Testis i jego przyjaciele polityczni. W omawianym artykule niema — rzecz b. charakterystyczna — żadnej wzmianki o koniecz-

ności ustępstw i kompromisowem załatwieniu sprawy. Przeciwnie p. Testis jest przekonany, że tego zadania może podjąć się element polski o własnych siłach. Pisze on dosłownie: „Serce tego organizmu — Wilno jest w rękach Polski, w rękach narodu, którego kultura największe wartości stworzyła na ziemiach b. W. X. Litewskiego, którego szczep na tych ziemiach żyjący i z nią zrosnięty jest najbardziej dojrzały do podjęcia się zadań, przerastających ciasne egoizmy narodów o kształtującej się dopiero samowiedzy”...

A więc nie wspólnym wysiłkiem wszystkich mieszkańców kraju ma być osiągnięte owe upragnione odrodzenie kraju i jego stolicy. Wystarczyć ma do tego wola jednego człowieka, który już raz wyzwolił Wilno z obcej przemocy i który nie dokończył jeszcze rozpoczętych wyprawą wileńską swych rozległych planów i zamierzeń politycznych.

Jeżeli tedy nawet umysły krytycznie usposobione względem istniejącego stanu rzeczy nie są zdolne do wyswobodzenia się z pod sugestyjnego działania faktów dokonanych, których konsekwencje dają się wszystkim dotkliwie we znaki, to cóż dopiero mówić o zwolennikach metod uproszczonych, opartych na zasadzie *beatus qui tenet*, którzy w społeczeństwie polkiem stanowią olbrzymią większość!

Nie, nie widać dotąd nigdzie przebłysku świadomości, że dzieło odrodzenia naszego kraju i przywrócenia Wilnu dawnego jego znaczenia i świetności nie może mieć za punkt wyjścia czynu zbrojnego z dn. 19 kwietnia, ponieważ czyn ten był dokonany przez Polskę na własną rękę, bez udziału miejscowej ludności, która była i pozostała biernym

J. A. HERBACZEWSKI

Rozmyślenia (quasi-rekolekcyjne) o literaturze i sztuce wogóle i litewskiej w szczególności.

3. Messjanizm (religja) sztuki i literatury.

Świat lubi światopogląd *zoologiczny*. Zwierzę, bydlę, częstokroć jest *wzorem* dla ludzi naszego świata (nprz. zagadnienie seksualne w nauce, a zwłaszcza w medycynie). Kochaj się, jak pies, jak małpa!

Światopogląd artysty rodzi *tesknota* jego ducha, jest więc on ściśle duchowy (problem wyobraźni twórczej). Narazając się na śmieszność, artysta pragnie być aniołem (dobrym albo złym), nadczłowiekiem, rywalem bogów, wyrazicielem nieujawnionych tęsknot człowieczeństwa.

Człowiek zoologiczny jest niewolnikiem natury. Dla niego niema *ewolucji* praw natury; istnieje prawo — fatum!

Człowiek — twórca, artysta, jest (mówmy to otwarcie) gwałcicielem natury. Że natura lubi być gwałconą, o tem wiedzieli i wiedzą genjusze sztuki i piśmiennictwa. Pod wpływem genjusza sztuki natura wciąż ulepsza swoje prawa, wciąż się przysto-

sowuje do woli twórczej inicjatorów. Dla artysty — twórcy cały kosmos — to tylko *potentia* — *możliwość!* Natura nie jest stworzona, lecz tworzy się! Niema nic w naturze konkretnego; wszystko jest względną względnością. Inicjator sztuki daje naturze wzory tworzenia się.

Według naszych utartych, naukowych pojęć, twórczość — jako gwałt nad naturą — jest zbrodnią, kryminalistyką. Trzeba jednak pogodzić się z prawdą, ujawnioną w życiorysach wielkich twórców, że sztuka jest pogwałceniem praw naturalnych, jest zjawiskiem *nad-naturalnem!* Słowem, sztuka jest *cudem*, a cud właśnie jest podwałceniem praw naturalnych, akademickich, profesorskich...

Nie boję się narazić na śmieszność, ani być posądzonym o tendencyjną paradoksalność à la Oskar Wilde, więc kategorycznie twierdzą na podstawie osobistych doświadczeń i przeżyć, że każdy *Twórca* (słowa, dźwięku, barwy, idei—myśli), każdy *Artysta* życia jest naprawdę strąconym z nieba zbuntowanym Aniołem, jest przeklętym w obliczu świata Demonem.

Problem indywidualności, problem osobowej nieśmiertelności, problem odrębności od zbiorowości stada, problem sobie-boskości — jest problemem Sztuki!

objektem eksperymentu zewnętrznego, chociażby przedsięwziętego w najszlachetniejszych intencjach.

Wbrew bowiem temu, co głosi p. Testis tylko zbiorowa wola ludności może ugruntować przyszłość kraju na trwałych podstawach.

Wśród młodzieży akademickiej.

Wybory do Bratniej Pomocy U. S. B., których wynik, pomimo formalnego unieważnienia przez Senat uniwersytecki, dobitnie stwierdził upadek dominujących dotychczas wpływów młodzieży wszechpolskiej, obudziły pewne nadzieje, że nastroje reakcyjno-nacjonalistyczne, panujące wśród ogółu akademickiego są objawem przemijającym i że zatęchła atmosfera, jaka się wytworzyła w środowisku wileńskiej młodzieży uniwersyteckiej z biegiem czasu ulegnie gruntownemu oczyszczeniu.

Doniedawna bowiem sytuacja wydawała się beznadziejna i czyż trzeba podkreślać, że u tych wszystkich, którzy rachowali na poprawę stosunków krajowych w przyszłości, widok młodzieży, głoszącej z całym cynizmem hasła najskrajniejszego wstępnictwa musiał wywoływać uczucia głębokiego smutku i pesymizmu? Jeżeli młodzież prześciga starsze pokolenie w obojętności kompletnej względem ideałów, przyświecających doniedawna myśli ludzkiej, walczącej o lepsze jutro, to cóż z niej wyrośnie, jakież potworne okazy moralne będą nadawały ton życiu społeczno-politycznemu u nas, gdy zejda do grobu niedobitki przedwojennych zastępów szermierzy wolności, tolerancji i równości?

Walka z endeckim szowinizmem i obskurantyzmem, jaką rozpoczęły obecnie bardziej zdrowe elementy wśród młodzieży polskiej U. S. B. budzi pewną otuchę, nie należy jednakże przeceniać jej znaczenia ideowego a przede wszystkim nie należy oddawać się złudzeniom, że ewentualne zwycięstwo

przeciwników supremacji wszechpolskiej będzie równoznaczne z triumfem zasad szczerze demokratycznych w życiu akademickim. Nacjonalizm bowiem nie jest cechą wyłączną endecji; w formie nie tak może rażącej, mniej brutalnej stanowi on dziś integralny składnik psychiki każdego niemal studenta, nawet mieniącego się demokratą lub socjalistą. W naszych zaś stosunkach, gdzie kwestja zgodnego współżycia narodowościowego odegra tak doniosłą rolę, najbardziej szkodliwym zjawiskiem jest ekskluzywizm nacjonalistyczny.

A że pod tym względem stosunki wśród młodzieży U. S. B. pozostawiają wiele do życzenia, świadczy o tem rzeczowy i pozbawiony jakichkolwiek bądź akcentów agresywnych artykuł J. Zianiuka w ostatnim numerze organu studentów Białorusinów „Studenskaja Dumka“.

W ciemnych barwach maluje on dzieje stosunków pomiędzy młodzieżą akademicką białoruską a polską.

Wśród polskiej młodzieży przeważały — jak stwierdza autor — od samego niemal początku wskrzeszenia uniwersytetu wileńskiego tendencje ultra-nacjonalistyczne. Młodzież endecka pod firmą „Młodzieży wszechpolskiej“ w r. 1925 obejmuje kierownictwo życia ogólno-akademickiego. Udało się jej zmajoryzować wpływy innych ugrupowań, opanować Bratnią Pomoc i reprezentację ogółu akademickiego U. S. B. na forum zewnętrznym. Żywioty demokratyczne nie przeciwstawiły się w sposób stanowczy zachłanności endeckiej, przeciwnie szukały z nią kompromisu, popierwsze dlatego, że same nie były pozbawione inklinacji szowinistycznych, a powtóre ze względów oportunistycznych, ponieważ obawiały się zarzutów braku patriotyzmu.

Rękę w rękę z wszechpolakami szła druga grupa „Odrodzenie“ o charakterze wybitnie katolickim, intepretująca jednakże ideały katolickie w sposób, zbliżony do pojmowania ich przez endecję.

Obóz t. zw. demokracji reprezentowały wówczas trzy grupy: O. M. N. (Organizacja Młodzieży Naro-

Już Hebbel, a później Ibsen („Brand“) zwrócili uwagę na to, że wszelka *aktywność woli* jest grzechem, zbrodnią wobec natury, że dobrem właściwym jest tylko posłuszeństwo, zgwałcona być pragnąca *passywność!* Sztuka — jako przejaw woli aktywnej, t. j. zbuntowanej, jest grzechem, jest prowokacją kary. Trzeba zgrzeszyć, aby stworzyć arcydzieło. Logicznie rozumując, nawet pokuta za grzech jest natchnieniem dla sztuki. Don-Juan, Św. Franciszek, Św. Augustyn, Napoleon nie stworzyliby legend o sobie, gdyby nie pokutowali za grzechy popełnione. Grzech zrodził potrzebę świętości, t. j. sztukę mistyczną, religijną!

Biblijny Jakób, walczący z Aniołem, ten ci jest pierwszym artystą — twórcą. A Gilgamesz? Gilgamesz, policzkujący Isztar babilońską? A Hiob (niestety, w Biblii wykoszlawiony)? A zwłaszcza *Lucyfer* (także Prometeusz), wieczny rewolucjonista, bóg-piękno, bóg-uwodziciel, ojciec wszystkich sztuk pięknych?! Lucyferyczne „eritis sicut dii“ powtórzył także Chrystus: „bądźcie, jak Ojciec niebieski“!

Chrystus był, jest i będzie tylko *Bogiem poetów* (św. Franciszków). Chrystusa prawdziwego świat jeszcze nie zna. Zna tylko *zjudaszowionego* Chrystusa! Wstydl!

Świat jest przeklęty (E. Hello). Nie wolno

świata zbawiać! Chrystus chciał zbawić świat, więc został ukarany, jak Prometeusz. Świat „chrześcijański“ jeszcze tego nie rozumie! „*Non pro mundo rogo!*“ — powiedział Chrystus.

Bogowie wszystkich religij (z wyjątkiem buntownika Buddy) chcą, aby ludzkość była tylko *rabem* — posłusznym narzędziem. Tłum (zbiorowość) jest bóstwem. Nie wolno być lepszym, piękniejszym, mędrszym od tłumu! To grzech, to zbrodnia! Tłum jest bożyszczem! Kto się wyróżnia, ten zbrodniarz! Wyodrębnioną jednostkę trzeba tępić bez miłosierdzia! Tłum jest bożyszczem! Wszyscy jednakowo głupi, jednakowo tępi, jednakowo idjotyczni! Nie wolno się wyróżniać!.. Tę straszną prawdę głoszą wszystkie religie świata — Komunizm rosyjski tę straszną prawdę, zahartowaną w Inkwizycji średniowiecza, jeno wydoskonalili. Dyktatura motłochu — oto bóg!

Bogowie świata nienawidzą *aktywności!* Nie wolno być *aktywnie* dobrym! To grzech. Trzeba być zawsze posłusznym narzędziem nawet w rękach szatana! Trzeba się dawać tyranizować! Opór jest grzechem! Bunt — zbrodnia! Wola zbiorowości, wola motłochu — święta rzecz!.. Dobro jest gnojem, użyźniającym zło! Tak!

Wolny artysta (Nietsche) ze wstrętem odrzu-

dowej), Polska Młodzież Ludowa i Niezależna Młodzież Socjalistyczna.

Geneza O. M. N. jest znana. Od r. 1908 gdy się ta organizacja utworzyła, jako secesja endecji, przechodziła ona stopniową ewolucję, jednakże grzechu pierworodnego nigdy z siebie zmyć nie mogła. Na uniwersytecie wileńskim większymi wpływami zresztą nigdy nie rozporządzała.

P. M. L. powstała po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Na terenie jej toczyły od samego początku walkę o wpływy „Piast” i „Wyzwolenie”. Większość członków P. S. L. pochodzi z rdzennej Polski, stanowi element obcy na naszym gruncie i mało się interesujący życiem miejscowym.

Wreszcie N. Mł. S. jest bardzo nieliczna, również rekrutuje się przeważnie z żywiołów pozamiejscowych i również zdradza tendencje nacjonalistyczne.

Od r. 1925 do chwili obecnej nastąpiło w szeregach polskiej młodzieży akademickiej znaczne zróżniczkowanie. Decydującym momentem był tu przewrót majowy, który wywołał w całym społeczeństwie silną reakcję przeciwko dotychczasowej supremacji endecji. Odbiło się to również w życiu akademickim. W r. 1927 na zjeździe w Warszawie powstał Z. P. M. D. (Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej), który wysunął na czoło swego programu te same wskazania, jakimi operuje t. zw. sanacja. W sprawie zagadnień narodowościowych Z. P. M. D. swego stanowiska wyraźnie nie sformułował, jednakże z niektórych jego enuncjacji przebijają wyraźne akcenty nacjonalistyczne.

Ciekawą ewolucję odbyło „Odrodzenie”. Pod wpływem swego kierownika H. Dembińskiego, młodzieńca o bardzo wybitnej indywidualności ugrupowanie to zerwało radykalnie ze światopoglądem endeckim, wysuwając hasła czystego katolicyzmu. Na ostatnich wyborach szło już ręką w rękę z młodzieżą demokratyczną przeciwko wszechpolakom.

Mimo tych głębokich przeobrażeń wśród młodzieży polskiej mało się co zmieniło w dziedzinie

stosunków narodowościowych. Jak dawniej panuje wyłączność narodo-wyznaniowa i niema mowy o łączności wszystkich studentów na wspólnej platformie demokratycznej. Studenci Polacy idą osobno, Żydzi stanowią społeczność odrębną, a znów Białorusini, Litwini i Ukraińcy również trzymają się w rezerwie, dążąc do stworzenia wspólnego związku swych zrzesseń.

Nie ulega wątpliwości, że od stanowiska młodzieży polskiej będzie zależał dalszy rozwój stosunków wśród tak różnolitej pod względem narodowościowym młodzieży na uniwersytecie wileńskim.

Z natury rzeczy od niej, jako od żywiołu przeważającego liczebnie i zajmującego pozycję uprzywilejowaną, musi wyjść inicjatywa w kierunku zbliżenia i całkowitego równouprawnienia na gruncie akademickim.

Narrans.

„Właściciele domów na cudzych gruntach“.

Prawodawstwo rosyjskie pozostawiło wiele spraw nieuregulowanych w naszym kraju. Szczególniej jeśli to były własności lokalne, jeszcze nieraz z przedrozbiowych czasów pozostałe.

Do spraw tych zaliczyć należy kwestję właścicieli domów pobudowanych na cudzych gruntach. Różne są kategorie takich posiadaczy. Jedni „względnie niedawno” mają takie zabudowania, to znaczy parę dziesiątków lat, inni mają je od półwieka lub wieku, nieraz na podstawie pewnej analogji do prawa czynszowego (Popowszczyzna na Zarzeczu) — inni jeszcze od kilkuset lat (Kuprjaniszki od 1648).

Większość jednakże wedle obowiązującego prawodawstwa rosyjskiego wrazie nieodnowienia kontraktu, lub nieopłacenia tenuty dzierżawnej powinna być wyeksmitowana z prawem, a nieraz z obowiązkiem „usunięcia zabudowań i zrównania po nich ziemi”.

ca tego rodzaju religje. Woli być przeklętym przez świat djabłem, aniżeli być tego świata błaznem — amantem. Sztukę tworzy walka jednostki z tłumem, motłochem! Innego sensu tworzenia się sztuki niemal! Kto ma odwagę być potępionym, do piekieł straconym, ten ci jest artystą prawdziwym.

Twórczość w swej istocie jest buntem przeciwko oficjalnemu bogu — jest właśnie „grzechem pierworodnym” (bądźcie jako bogowie!).

Nic się nie „objawia” (kłamstwo!), wszystko bogu, bogom gwałtem się wydzieral

Nic się nie dawa darmo (kłamstwo!) Cudem rabunku jest twórczość wszelka!

Płaci się życiem całym za każde dzieło sztuki. Życiorysy wszelkich ludzi — to Golgota kultury. — Czem zapłacili za „zuchwalstwo” Beethoven, Schumann, Schubert, Mickiewicz i in.? Wszystkich ukarał oficjalny bóg! Nie wolno być lepszym od motłochu! Trzeba być nadwornym lokajem bałwana tłumu...

Masa, zbiorowość — jest bezkształtna. Tam, gdzie się poczyna *rozdział*, tam tylko tworzy się linja kontrastu, zaczyna się formować jakiś kształt! Formę tworzy wyodrębnianie się z masy bezkształtnej zbiorowości — tworzy wyróżnianie się, przeciw-

stawianie się, słowem, bunt przeciwko chaosowi zbiorowości. Tak powstał nasz system planetarny.

Twórczość właściwa, rzetelna zaczyna się od „Ja”, które się przyobleka w kształty osobowości. Literatura anonimowa zaczyna się od „my”, „oni” (miernota lubi anonimy, pseudonimy). Każde „Ja” siłą własnego rzutu jest odpowiedzialne za swoją twórczość. „My” nie zaznaje żadnej odpowiedzialności (jest narzędziem ślepej siły — „vis majoris”).

Ojcem tego „Ja” twórczo-osobowego, bogu przeciwstawnego, samowystarczalnemu jest *Lucyfer*, którego przewano Szatanem za to, że „wolność wymyślił” — wolność, uzbrojoną w jutrzniany urok piękna! Dla światowego bezosobowego „my” *Lucyfer* zaiste potworny duch! Wyodrębnił się, aby kusić, aby uwodzić świat! Groza! A czemuż *Chrystusa*, który *kazał* wyodrębnić się od świata tego przekłętogo, nie nazywają Szatanem? Niech na to pytanie mądrze odpowiedzą teologowie nasi! „Rzuć ojca i matkę!” — wszak to bunt, groza! Teologja świata grzeźnie w błocie kłamstwa.

Tajemną prawdę o *Lucyferze* w polskiej literaturze jeden, jedyny *Słowacki* intuicyjnie pojmował, choć jej nie umiał wyrazić („*Samuel Zborowski*”). Przeczuwał ją także *Miciński*, ale chaotycznie, bojaź-

Większość miasteczek w naszym kraju, niektóre miasta oraz peryferje większych miast są w ten sposób zabudowane. W Wilnie naliczają 6.500—7.000 właścicieli tego typu, całe miasto jest opasane szeregiem takich właśnie posiadaczy „niehipotecyjnych nieruchomości”, ludność wyrobnicza, rzemieślnicza i t. p. z tego korzysta. Przeciętny np. dorożkarz wileński jest zwykle posiadaczem takiego własnego drewnianego domku ze stajnią i działki $1\frac{1}{2}$ —1—2 ha ziemi przechodzącej z ojca na syna nieraz od wielu lat dziesiątków. Ale np. Pińsk lub Baranowicze także na takich podstawach się zabudowały.

Właścicielami gruntów są przeważnie albo właściciele sąsiednich majątków (większość miasteczek ale i Baranowicze naprzykład też) albo posiadacze martwej ręki — klasztory różnych wyznań i własność gmin miejskich.

W okresie zniszczeń powojennych, w okresie „odbudowy” i funduszy na nią przeznaczanych tolerowanie takiego stanu rzeczy, gdzie groziło zniszczenie wieloletnich zabudowań — było rzeczą niemożliwą. W sprawę musiały się wdać czynniki rządowe i ustawodawcze.

Sejm Ustawodawczy w ostatnich miesiącach bytu, gdy weszli doń posłowie z Wileńszczyzny wydał ustawę, wstrzymującą eksmisję właścicieli domów pobudowanych na cudzych gruntach pod warunkiem opłaty 10.000 marek polskich za każdego rubla przedwojennego czynszu i wezwał rząd do złożenia projektu wykupu ziem pod zabudowaniami dzierżawionych.

W rok potem Sejm następny przedłużył działanie tej ustawy znowu na rok — zwiększając tylko czynsz do 40 000 marek za rubla i dając rządowi termin dwumiesięczny dla opracowania ustawy o wykupie tych gruntów.

Od tego czasu ze zmiennem szczęściem to na rok, to na półtora, to na dwa lata ciągle odsuwano moc działania tej tymczasowej ustawy, wstrzymującej rugi dzierżawców „z domami do zabrania na plecach”.

Przy tej sposobności zdarzały się najdziwniejsze pomieszczenia pojęć, praw, interpretacji. Gdy np. w Sejmie i Senacie Komisje prawnicze wzięły sprawę w swoje ręce — i przedłużyły termin jesienny (1.X) działania ustawy wstrzymującej eksmisję o $1\frac{1}{2}$ roku do 1.IV — wtedy sformułowanie opłaty brzmiało: 1 złoty za każdego rubla przedwojennego czynszu *za czas do 1 kwietnia 1927 r.* Przy stosowaniu tej zasady stanęło pytanie: czy 1 złoty za półtora roku (przypuszczalna intencja ustawodawcy), czy 1 złoty za cały czas zaległych opłat od wojny (były wypadki, że nie było komu wnosić opłaty), względnie za 10 letni termin przedawnienia, — czy wreszcie — jak to wyinterpretowała właścicielka Baranowicz — za każdy rok dzierżawy.

W wymienionym wypadku (Baranowicze) — 10-letni czynsz, czyli 10 złotych za rubla przedwojennego wynosił sumy nieraz wyższe, a zwykle niedaleko odbiegające, od wysokiej ceny, za którą też właścicielka zgadzała się dzierżawcy ziemię odprzedać. A to dlatego, że rozwój Baranowicz jest stosunkowo świeżej daty, więc i czynsze dosyć wysokie. Delegacja do ministra sprawiedliwości nic nie wskórała, prócz rady, by choć jedną sprawę dopuścić przez wszystkie instancje do Sądu Najwyższego, a dopiero interpretacja tego ostatniego byłaby miarodajną. Tymczasem eksmisja wisiała już na włosku.

Gdzieindziej, ale podobnie jak w Baranowiczach, nie było właścicieli w czasie wojny i nie było komu płacić czynszu — a potem narzucono, nieraz mało lub wcale niepiśmiennym dzierżawcom nowe kontrakty, o nawet niewygórowanych cenach, ale opiekujące, jak to uczynili jezuita w Pińsku — że po 6 latach właściciel zobowiązuje się opuścić dzierżawę, domy znieść i zrównać po nich ziemię.

Wielu dzierżawców siedzi z dziada pradziada, więcej nabyło prawa swe drogą kupna — ale niemal wszyscy wedle ustawodawstwa rosyjskiego mieli kontrakty odnawiane co 12 lat, i to nieraz tacy, którzy mieli dawniej inne prawa nabyte.

Naprzykład całą „Popowszczyznę” na Zarzeczu

liwie. Kasprowicz buntował się wspaniale, lecz „pogodził się z Bogiem” zbyt ubogol..

Wielki Mickiewicz był wielkim tylko w momencie buntu („Improwizacja”), lecz się momentalnie przeraził, zachwiał i sam siebie zdegradował do roli kompromisowej. Jako rewolucjonista polityczny próbował wrócić na szczyty, lecz już było zapóźno: stracił, zmarnował wielki moment *osobistej* rozmowy z Jehową... Stracił swoje „Ja” i głosił kult „my”! Nie rozumie pretensji p. Millera do Mickiewicza. Wszak p. Miller, propagator kultu „my” (zbiorowości), powinien właśnie Mickiewicza chwalić za to, że on kapitulował przed „my”! Zdaje się, sam p. Miller nie wie, czego chce od życia i literatury.

Załamanie się Mickiewicza na polskiej górze *Sinai* zhamletyzowało całą polską literaturę, która po dziś dzień nie może jeszcze ochłonąć ze strachu i lawiruje sprytnie „między dobrem a złem”. St. Wyspiański próbował wyzwolić się z tego hamletyzmu (jego studjum o Hamlecie), lecz się „czegoś” przeraził i o wolną, lucyferyczną, sztukę polską walczyć przestał. Jego zbuntowany Konrad dał się (o wstydział!) zamknąć w teatrze (czy to symbol?) i oczekuje swego wyzwoliciela.

Mnie się zdaje, że genjusz literatury polskiej musi jednak wrócić na górę *Sinai* i nowym buntem

przeciwko Bogu oswojzić Sztukę polską z jarzma społecznej (tłumu) niewoli. Idea zbuntowanego Konrada czeka na swego realizatora. Wielkie dzieło Mickiewicza zmarnowano. Kto je dokończy?

Na Litwę załamanie się Mickiewicza oddziało fatalnie. — Klerykalne „ideały” ks. Piotra w poezji, w literaturze, triumfują po dziś dzień. Poezja „godzenia się z losem” — płacziwa, jękliwa — zasypia sumienie narodu. Chwilowe bunty młodych są raczej wybrykami młodości, aniżeli deklaracją woli twórczej. „Jeżeli Mickiewicz się załamał, to mnie nawet próbować nie warto!” Zaiste marna pociecha. Literatura litewska jeszcze nie przezwyciężyła teologicznego światopoglądu. Wystarczy poskrobać lubego pisarza, lubego poetę litewskiego, by się wnet ukazał teolog! Litwa przeżywa ten sam okres rozwoju kulturalnego, jaki przeżywały państwa skandynawskie przed Strindbergiem, Knutem Hamsunem, Ibsenem itp. Jest w przededniu walnej bitwy z duchem klerykalizmu.

Prócz mojej, przekłętej osoby, niema w literaturze litewskiej „zbuntowanych Konradów”. Bez buntu przeciwko oficjalnemu bóstwu, przeciwko teologicznemu światopoglądowi literatura litewska zmarnieje. I dlatego moim zadaniem jest ogień tego buntu rozniecić. Miło mi będzie samemu w tym świętym ogniu spłonąć. Marzę o takiej zaszczytnej śmierci.

dostał od konsystorza prawosławnego w latach dwudziestych przeszłego wieku były wojskowy polski pod warunkiem opłaty 1½ rubla czynszu rocznego. Dziś na tem miejscu jest coś około 179 działek — ale w czasach murawjewowskich zmuszono większość olbrzymią prawonabywców do sporządzania kontraktów 12-letnich. Tylko 9-u „uportstwujujących” nie poddało się — i aż do czasu wojny pozostali na dawnych prawach. Stąd dwie sąsiedzkie działki równej wielkości płaciły tam: jedna 20 rubli rocznie, druga — 22 kopiejki.

Najdziwniejsze znowuż koleje wykazywał wileński „majątek miejski” Kuprjaniszki — dzierżawiony od 1648 r. Tu ziemię „zakładało” miasto w jednym banku a dzierżawcy w drugim. Fenomen w dziedzinie hipotecznej.

Jest rzeczą jasną, że przetrwanie tak pierwotnych stosunków własnościowych w naszym kraju aż do drugiej ćwierci XX-go wieku jest wynikiem losów naszego kraju. Stosunki te byłyby dawno uregulowane, gdyby nie rządy rosyjskie, które „zamroziły” stan posiadania, nie chcąc dopuścić do nabywania ziemi przez „inorodców”, Polaków i Żydów. Gdyż właśnie jest rzeczą charakterystyczną, że bez względu na podłoże etniczne, białoruskie czy litewskie — „właścicielami domów na cudzym gruncie” są niemal wyłącznie na całym obszarze ziem wschodnich Polacy i Żydzi. Jest również rzeczą jasną, że w ogromnym procencie ziemi „dzierżawione” są faktyczną własnością, dawno już opłaconą przez właścicieli zabudowań. A dla reszty, która faktycznie była dzierżawcami, należy stworzyć warunki podobne, to jest, w myśl wielokrotnych rezolucyj sejmowych, należy im też dać prawo wykupu. Znoszenie domów w okresie „odbudowy” powojennej — (i budowania ich chyba na nowo przy pomocy kredytów rządowych) jest absurdem, nie wytrzymującym krytyki. Do wykupu przymusowo uregulowanego należało już dawno przystąpić. To też liczne rzesze (kilkadziesiąt tysięcy) tych dzierżawców z ulgą powitały przewrót majowy w nadzieji, że sprawa ruszy naprzód w okre-

sie dekretowania Prezydenta. Ale spotkał ich zawód: z powołaniem p. Meyszłowicza na stanowisko ministra sprawiedliwości, który uważał wszelkie przesunięcia własnościowe za obrazę zasad prawnych, sprawa utknęła na martwym punkcie.

Wobec różnorodnych stosunków wytworzonych wiekami i dziesiątkami lat byłoby rzeczą krzywdzącą uregulowanie sprawy pod jeden strychulec.

Tymczasem ministerstwo sprawiedliwości w swych opracowaniach poszło drogą biurokratyczną i nie wyszło poza ramy, niezawsze szczęśliwych projektów, które sprawę mogły jeszcze bardziej zagmatwać, krzywdząc przytem niesłuchanie od wieków u nas osiadłą ludność miasteczkową i podmiejską.

Dosyć powiedzieć, że projekty ministerjalne i „międzyministerjalne” poszły w kierunku:

1) uznania przy wykupie ceny rynkowej gruntu z odliczeniem tylu procentów, ile lat trwa dzierżawa, ale nie więcej 50%;

2) wykupienia za ledwie dziesięciokrotnej przestrzeni zajętej przez budynki;

3) załatwienia sprawy przez sądy i to na podstawie kontraktów jako dowodów.

Wszystkie trzy punkty są nie do przeprowadzenia. Charakterystyczny dla tych stosunków moment „zasiedzenia” jest odróżniony posiadaniem własnych zabudowań. Kontraktów albo niema i nie było, albo były, ale zostały zniszczone w ciągu lat i wojny — kwity za opłacony czynsz części się znajdują, ale też nie nazbyt często. Dla uwłaszczenia drobnych dzierżawców wiejskich („poza granicami miast i miasteczek”) utworzono specjalne komisje uwłaszczeniowe z udziałem stron zainteresowanych. Nie do pomyslenia jest załatwienie spraw wykupu w miastach przez przeciążone sądy (7000 spraw przez wszystkie instancje w Wilnie). Jest to niepraktyczne i zaciągnie sprawę na lata, jeśli nie na lat dziesiątki.

„Cena rynkowa” nie jest dobrodziejstwem. Jeśli się ziemię pod własnym domem dzierżawi od blisko 300, a choćby i 100 czy 50 lat — to nie jest to sprawiedliwe — zresztą kto ma tę „cenę rynko-

Co do losów Polski Konrad-Mickiewicz mógł się „pogodzić” z Bogiem. Co do losów „Litwy, ojczyzny swojej”, Konrad nie miał upoważnienia „godzić się”. Kto wie, czy zbuntowany Konrad, stawszy się duchem niepodległej Litwy, nie zrehabilituje honoru twórczego Adama Mickiewicza. Nie trzeba mieć złudzeń, że Litwa tylko modlić się umie. Litwa czynem może dowieść, że lepiej, niż się modlić, przeklinać umie. Z tą niespodzianką trzeba się liczyć.

Reasumując powyższe wywody, twierdzą, że celem (misją) sztuki litewskiej jest stworzenie człowieka, t. j. realizacja idei pierwotnego chrześcijaństwa, właściwie sekciarstwa. Człowiek (*ecce homo*) jest celem ostatecznym tęsknot nie tylko natury, lecz i kosmosu. *Arcydzieło sztuki kosmicznej t. j. Człowiek*, wyzwoli świat z mękil Tego pragnął Chrystus. Niestety, napróżnol Bydlę jest ideałem współczesnego człowieczeństwa.

Najpierw człowiek, a później naród. Naród jest rzeczą drugorzędną. Przez człowieczeństwo ludzi-człowieków do braterstwa narodów — do realizacji tej idei, którą umierając na krzyżu *Chrystus-Lucyfer* światu zwiastował. Sztuka realizuje tylko ideę ubóstwienia Człowieka, aby „męczeństwo uniepotrzebniło się na ziemi” (Norwid).

Rażącą osobliwością (zgrzytaniem po szkle) w li-

teraturze europejskiej epoki przedwojennej było to, że - mimo usilnej tendencji upiększenia, wyanielenia dobrych charakterów — *złe charaktery* były więcej interesujące, więcej atrakcyjnie frapujące, aniżeli *dobre!* Dobre charaktery w poezji, proste i dramacie były kłamane, nienaturalne, fikcyjne — bez krwi, bez życia — papierowe, widmowe. Dobre charaktery pełniły, sprawowały rolę niedołęgów, idjotów, w najlepszym razie — „męczenników” dla samej rokoszy być męczonymi (wstrętny sadyzm literacki). Dzisiaj, po wojnie, widząc w kinematografie męki dobrego charakteru, gwizdzemy z obrzydzenia! Oburza nas cynizm zjawiska, że dobro pozwala gwałcić siebie bezkarnie łotrom!.. Żądamy od dobrego człowieka *siły* (i słusznie), żądamy od niego, aby cud oporu sprawił... Niestety! Kochana ludzkość nie wierzy w siłę dobra. Dla niej dobro — fikcja, zło — realność.

Tłum, motłoch uwielbia wielkich zbrodniarzy. Przebacza im wszystkie zbrodnie — kobiety (nawet z wyższego towarzystwa) rzucają się im na szyję. Co za rokosz dla kobiety dzisiejszej romansować z katem! ślizgać się w objęciach mordercy! *Carmen* jest zawsze porwijająca czarownica; *Micaela* — zawsze godna politowania gąska. *Rasputin* entuzjazmuje cały świat (niby zwalczają go, ale tylko z zawiści, że „on, a nie ja” był tym wybrańcem losu!) *A Casanova?*

wą" określić? Sąd? Rzecznicy? Po małych miasteczkach, gdzie różne mogą być „wpływy“ na nich? I ten na Popowszczyźnie co płacił 20 rb. i ten co za to samo 22 kopiejki — mają dziś zapłacić „ceny rynkowe“? Przytem taka sprawa w jednej instancji się nie zakończy, bo każdy będzie apelował co do ceny i t. d.

Czy nie prościej było pójść za przykładem ustawy o dzierżawcach wiejskich? Tam uznano za podstawę wykupu wielokrotność przedwojennego czynszu rocznego, zależnie od kategorii = 8, 12 i 16²/₃ (kapitalizacja przy 5⁰/₀) — Załatwia się to łatwo. Nawet i bez kontraktu, na podstawie kwitów i świadków łatwo orzec wysokość czynszu przedwojennego. 90⁰/₀ spraw będzie załatwionych w mig. A dopiero reszta będzie przechodzić przez instancje wyższe.

Wreszcie zasada „10-krotnej przestrzeni pod budynkami“. — A więc premia dla rozrzuconych słabych budynków drewnianych i szop w porównaniu do mniej miejsca zajmujących budynków murowanych. A czy szopa na wozy, czy buda dla psa to też budynek? Kto to będzie mierzył i określał — a następnie defigurował parcele, po parę metrów zostawiając z każdej strony dla właściciela — ale zato rujnując ogrodowe gospodarstwo dzierżawcy i zamykając mu dojazd?

To pomysł znieprawdziwego zdarzenia. Można zrozumieć, że jeśli ktoś ma wyjątkowo wielki (kilka — kilkanaście ha) obszar w granicach miasta — to można wykup ograniczyć do kilku ha — ale w 99⁰/₀ wypadków są to drobne parcele — i tego rodzaju pomysły zielonobiurkowy powinien być natychmiast zarzucony.

Naszem zdaniem wykup powinien polegać na następujących zasadach:

1) Podstawą uprawnienia jest posiadanie własnych zabudowań od czasu wojny, o ile właściciel gruntu nie dowiedzie, że już przed wojną (a dla zabudowujących się po wojnie od paru lat) nie sądzono się oto, jako za samowolne zabudowanie.

2) Podstawą ceny wykupu winien być odpo-

wiednio dla różnych kategorii wielokrotniony czynsz przedwojenny (z odliczeniem tyłu procentów ile lat dzierżawy, jak w projekcie rządowym). Sposób ten daje największe zbliżenie do prawdy, bo w wysokości czynszu mieści się i jakość gruntu i jego położenie w stosunku centrów handlowych i dawność zasiedlenia.

3) Z wyjątkiem naprawę nadmiernych, dzierżawionych w miastach obszarów, co można ograniczyć absolutną liczbą hektarów — wykupowi podlega cały dzierżawiony grunt. Jeśli obszar będzie duży, to i cena wykupu, choć rozłożonego na 6—12 lat — będzie niemała — wtedy dzierżawca sam sprzeda część i umożliwi dalsze zabudowanie się miasta.

Trzeba bowiem pamiętać, że obecny stan jest hamulcem rozbudowy. Wilno np. jest opasane takim pasem, gdzie nikt ziemi kupić nie może, a właściciele domków i dzierżaw nie mając hipoteki także z kredytów korzystać nie mogą na odnowienie i dalszą budowę — i przeto wszystko stoi „po staremu“, chyli się do upadku i uniemożliwia rozwój naszych miast i miasteczek.

Stosunki obecne w tej dziedzinie są nieznośne, krzywdzące, nieracjonalne gospodarczo, są źródłem nieustającego fermentu i niezadowolenia — i winny być jaknajprędzej ustawowo uregulowane drogą racjonalnego wykupu, który da podstawy rozwojowi naszych miast i miasteczek.

Ludwik Chomiński

Jeszcze jeden przyczynek do jałowej dysputy.

W zeszłym numerze podaliśmy wykaz publikacji, broniących bądź to polskiego bądź litewskiego punktu widzenia w sprawie wileńskiej na gruncie prawa międzynarodowego.

Ostatnio przybyła jeszcze jedna publikacja z te-

Jego pamiętniki są najmiłą lekturą nawet dla zakonnic, a lada kleryk w tajnikach swej duszy z zdrożności temu „rabusiowi czci niewieściej“...

Zły charakter świat porywa, entuzjazmuje. Dobry charakter świat odpycha, pogardą i wstrętem napawa. Zło posiada moc; dobro jest zawsze bezsilne. Zło — pan, władca; dobro — sługa, rab. Poeci i literaci epoki przedwojennej, wbrew swej intencji, nauczyli ludzkość tak patrzeć na zło i dobro. Nie wiedząc, propagowali kult zła.

Lecz czy tak być powinno naprawę? Czy takie *kłamstwo* może być dłużej tolerowane w literaturze i sztuce?

Nie, nie, nie!

Jestem przekonany, że w niedalekiej już przyszłości w literaturze i sztuce europejskiej *objawi się cudowna, magiczna moc dobra!* Świat, zdumieniem oszołomiony, będzie zmuszony się przekonać, że dobry człowiek jest więcej interesujący od złego człowieka! Dobry człowiek *cudami* walczyć będzie ze złem o autorytet idei dobra. Na tle tej walki zrodzi się nowa forma dramatu, zreformuje się scena... Teatr zwłaszcza odzyska swój urok magiczny.

Pierwszy występ na scenie *cudotwórcy dobrej idei* wywołała rewolucję pojęć w świecie całym. Entuzjam radości ogarnie ludzkość całą. „Dobrze już być dobrym człowiekiem! Już zło nie może *bezkarne* pastwić się nad dobrem! Dobrego człowieka pioruny słuchają! Zły człowiek już potulnieje! Już miło żyć na ziemi! Już sprawiedliwość triumfuje!“.. Potrzebie *satysfakcji moralnej* stanie się zadość.

(Przyp. Red.). Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczyc winniśmy, że wybujały kult jednostki, którego wyrazicielem jest autor powyższych rozważań, nie odpowiada naszym poglądom. Pozostawiamy jednakże autorowi zupełną swobodę wypowiedzenia się, nie chcąc krępować jego wybitnej indywidualności.

go zakresu, mianowicie broszura prof. Juljusza Makowskiego p. t. „Kwestja litewska” (Studjum prawne), w której autor polemizując z obrońcami tezy litewskiej i dowodząc słuszności uchwały Konferencji Ambasadorów, roztrząsa stosunek wzajemny Polski i Litwy w całej jego rozciągłości, sięgając aż do czasów przedzoborowych.

Niepotrzebnie całkiem profesor prawa międzynarodowego zapuszcza się w tę obcą dla siebie dziedzinę, gdyż o ile zna dokładnie dzieje stosunków polsko-litewskich po wojnie, o tyle znajomością historii wieków ubiegłych bynajmniej się nie odznacza.

Rażące jest mocno m. in. cytowanie przez prof. Makowskiego przy ocenie aktu Unji Lubelskiej pod względem prawnym tego rodzaju powag naukowych, jak Chołoniewskiego, Graużinisa, Gorzuchowskiego i t. p., a pominięcie istotnych autorytetów, jak Lubawskij, Łappo, Piczeta, Downar-Zapolskij. Przy takiej znajomości źródeł nic dziwnego, że autor dochodzi do całkiem nieoczekiwanych i zabawnych wniosków. Przytaczając ustęp z aktu lubelskiego, opiewający, „iż już Korona Polska i Wielkie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nieróżne ciało, a także nieróżna, ale jedna spólna Rzeczpospolita, która się ze dwu państw i narodów w jeden lud zniosła i spoiła”, prof. Makowski upatruje w powyższych słowach dowód „złania się dwóch narodów w jeden naród polski...” Dlaczego polski, a nie litewski przeciwnie? Taka dowolna interpretacja tekstów ze strony badacza, któremi nie mogą być obcemi metody naukowe jest czemś niesłychanem.

Zupełnie niezrozumiałe jest powoływanie się prof. Makowskiego na opinię angielskiego prawnika z XVI w., z której wynika, że już w końcu XVI w. uważano Polskę i Litwę za tak ściśle zjednoczone, że wydawało się absurdem chcieć prowadzić wojnę z Litwą, a z Polską pozostawać na stopie pokojowej. Ależ oczywiście! Skoro od chwili aktu krewskiego związek Litwy z Polską, ulegając w ciągu wieków rozmaitym fluktuacjom, nie przybrał nigdy formy bardziej luźnej, niż unja personalna, po akcie lubelskim zaś definitywnie przybrał formę unji realnej, to polityka zagraniczna nie mogła być prowadzona samodzielnie przez żadną część składową zjednoczonego państwa. Ale co to ma wspólnego z rzekomą inkorporacją Litwy, której to tezy prof. Makowski jest gorącym rzecznikiem?

Najbardziej jaskrawe potwierdzenie powyższej tezy prof. Makowski widzi jednakże w uchwale Sejmu Czteroletniego z dn. 20 października*) 1791 r., znanej pod nazwą „Zaręczenie wzajemne obojga narodów”.

Zwykle publicyści, popularyzatorzy historii, a nawet zawodowi historycy pomijają tę uchwałę milczeniem, nie doceniając jej znaczenia, albo nawet zgola o niej nie wiedząc.

Należałoby więc z wielkiem uznaniem powitać fakt, że prof. Makowskiemu nie jest ona obcą, gdyby nie ta okoliczność, że w jego interpretacji uchwała nabiera całkiem odmiennego sensu, niż ten, który miała w rzeczywistości.

Wówczas gdy „Zaręczenie” stanowiło bezsprzecznie w stosunku do tendencji centralistycznych Konstytucji 3 maja znaczne od nich odchylenie i było pewnym nawrotem do dawnych tradycji historycz-

nych (z tych właśnie względów jest niechętnie widziane przez publicystykę i naukę polską), prof. Makowski z całą dezynwolturą oświadcza, że „wspomniany akt usunął ostatnie ślady odrębności państwowej W. X Litewskiego”. Albo prof. Makowski nie zadał sobie trudu odczytania tekstu całkowitego uchwały, albo też nie posiada żadnych skrupułów w posługiwaniu się argumentami prawnymi historycznymi.

Wystarczy tylko zacytować końcowy ustęp uchwały, by się przekonać, że w żadnym razie „Zaręczenie” nie może być uważane za dokument, świadczący o przekreśleniu zasady równorzędności, jaka była podstawą stosunku prawnopolskiego pomiędzy Polską a Litwą od czasu Unji horodelskiej. „A te wszystkie rzeczy, tu postanowione i obwarowane... mając być potrzebne i obojemu temu narodowi, tak Koronie Polskiej, jako i Wielkiemu Księstwu Litewskiemu, jako jednej wspólnej, a nierozdzielnej Rzeczypospolitej pożyteczne, uznajemy być artykułami aktu unji tychże narodów, oraz trwałość i nienaruszenie onych przez akt niniejszy warujemy, utwierdzamy i umacniamy warunkiem, potwierdzeniem i umocnieniem takim, jakie mamy w akcie unji Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego”.

Trzeba niezmiernie bujnej imaginacji, aby w powyższej formule dopatrzeć się tendencji inkorporacyjnych! I pociągnąć historję bez żadnej potrzeby, skoro przecież nowy porządek rzeczy w Europie, ustalony przez Traktat Wersalski nie opiera się w najmniejszej mierze na przesłankach historycznych, lecz wyłącznie na prawie narodów samostanowienia o sobie?

Jeżeli stać na gruncie historycznym, to wypadłoby uznać za bezprawny przedewszystkiem Traktat Ryski, ponieważ został zawarty przez obecną Rzeczpospolitą Polską, która prócz nazwy niema nic wspólnego z Rzeczpospolitą przedzoborową. Tamta była w rzeczywistości państwem polsko-litewskim, na wzór Austro-Węgier, dzisiejsza zaś wyłącznie państwem polskim. I jeżeli prof. Makowski zaprzecza republice litewskiej prawa do występowania w charakterze spadkobiercy W. Ks. Litewskiego, to również należy zakwestjonować prawa Polski współczesnej do terytorjów, wchodzących niegdyś w skład W. Ks. Litewskiego, ponieważ z chwilą, gdy suwerenność Rosji przestała się na nie rozciągać, automatycznie następowało restitutio in integrum i powracała suwerenność dawnego władcy tych obszarów czyli państwa polsko-litewskiego.

Jak widzimy więc, uzasadnienie historyczne musiałoby doprowadzić do obalenia, a przynajmniej do podważenia całego układu międzynarodowego, jaki się wytworzył po wojnie w Europie Wschodniej. To też argumenty prawnohistoryczne w zatargu polsko-litewskim nie były prawie nigdy wysuwane, zwłaszcza w ostatnich czasach, gdy już się nagromadził nowy materiał powojenny, dający aż nadto szerokie pole do popisu erudytom z dziedziny prawa publicznego i międzynarodowego. Gdyby prof. Makowski poprzestał na analizie aktów i faktów, jakie się wydarzyły w okresie ostatniego dziesięciolecia, powiększyłby wykaz bibliograficzny odnośnych publikacji jeszcze o jeden numer i mógłby rywalizować o palmę pierwszeństwa z uczonymi zagranicznymi. Wkraczając na śliski i mało sobie znany grunt dociekań historycznych skompromitował się tylko i dał łatwy oręż w ręce swym przeciwnikom.

K. W.

*) Prof. Makowski mylnie podaje dzień 22 października, jako datę powzięcia przez Sejm wspomnianej uchwały. Uchwała zapadła jeszcze d. 20 października, oblatowana była dopiero w dwa dni później.

Unja w przeszłości i przyszłości.

Z kół białoruskich otrzymujemy artykuł, którego początek zamieszczamy w numerze niniejszym, a który wyraża poglądy znacznego odłamu inteligencji białoruskiej na kwestję antagonizmów wyznaniowych z punktu widzenia interesów narodowych białoruskich.

Nie podzielamy wprawdzie wybitnie utylitarystycznych zapatrywań autora na rolę czynnika religijnego w życiu narodu. Sądzymy wszakże, że zapoznanie się z pytańmi nurtującymi współczesne społeczeństwo białoruskie zainteresuje nie jednego z naszych czytelników.

Naród białoruski z każdym dniem manifestujący coraz natarczywiej i bardziej przekonująco swe dążenia do całkowitego samookreślenia narodowego, zdawien dawna, jak wiadomo, styka się z dwoma narodami, silniejszymi od niego pod każdym względem, zarówno materialnie jak duchowo, a ponadto usposobionymi względem niego agresywnie: Polakami i Rosjanami.

Obaj ci sąsiedzi już z górami od 5 stuleci prowadzą między sobą zaciętą walkę o ziemię i duszę ludu białoruskiego ze zmiennym szczęściem. Los sprzyjał to jednemu, to drugiemu. Zwycięzca starał się przedewszystkiem wytepić ślady panowania swego poprzednika i ta okoliczność uratowała poniekąd świat białoruski od zagłady.

W rezultacie bowiem naród białoruski nie podał się wpływowi żadnej ze wzajemnie wyłączających i zwalczających się kultur. Naturalnie w tych warunkach nie stworzył i swej własnej kultury, jedynie potrafił zachować swą etniczną indywidualność, niestety o charakterze niemal pierwotnym.

Najfatalniej odbiłoby się na losach narodu białoruskiego porozumienie odwiecznych rywali, mające na celu podział sfery wpływów i ekspansji.

Oto dlaczego wszystkie bez wyjątku ugrupowania białoruskie po zawarciu traktatu ryskiego ogłosiły stanowczy protest przeciwko werdyktowi nowego sądu Salomonowego, rozstrzygającemu wiekowy zatarg dwóch „matek” zapomocą przepołowienia spornego narodu-niemowleńca. Najlepszy to dowód, że żadna z pretendujących doń „matek” nie jest jego prawdziwą rodzicielką...

Nie poprzestając na jałowych protestach społeczeństwo białoruskie przeciwstawiło dokonanej na jego organizmie operacji podziału syntetyczną ideologię narodową, której podstawą stanowi dążenie za wszelką cenę do zachowania, wzmocnienia i pogłębienia jedności duchowej narodu ponad granicami fizycznymi.

Nie marząc o wojnie, w którejby sprawcy rozbioru wzajemnie się wytepiłi i nie modląc się o nią wzorem dawnych romantyków polskich, inteligencja białoruska jest poprośtu przekonana, że integralne rozstrzygnięcie zagadnienia narodowego Białorusi jest tylko kwestją czasu i nastąpi być może już podczas najbliższej dziejowej rewizji praw rozmaitych narodów do całkowitego samookreślenia.

Bardziej krytyczna jednakże część inteligencji rozumie, że ten moment przełomowy powinien stać naród odpowiednio przygotowanym. Powinien on się stać faktycznie jedną i niepodzielną osobowością duchową, nad którą nie mają władzy żadne siły materialne i dla której nie istnieją granice fizyczne, jak niema granic dla czynów ofiarnych w imię urzeczywistnienia narodowych ideałów.

Jak wiadomo, jedną z najbardziej potężnych sił, łączących jednostki etniczne w organizmy naro-

rodowe, zwłaszcza w zaraniu ich kulturalno historycznego rozwoju — jest Kościół — Religia.

Dlatego krytyczna ideologia białoruska, wbrew panującym w inteligentnym i ludowym środowisku (niestety nie bez winy ze strony oplakanej polityki kresowej) prymitywnym, rewolucyjnym dążnościom, zwraca szczególną uwagę na organizujący i normujący czynnik wyznaniowy.

I tu staje się widoczną w całej rzeczywistości tragedia narodu białoruskiego. Cała treść jego wewnętrznej historii sprowadza się właściwie do systematycznego obniżania jego poziomu duchowego.

Zarówno z katolickiego Zachodu, jak i z prawosławnego Wschodu do duszy narodu-niemowleńca metodycznie był zastrzykiwany jad nienawiści i pogardy człowieka do człowieka, nawet do rodzonych brata, o ile był innej wiary.

Ten specyficzny nietolerancyjny charakter obu chrześcijańskich postawnictw na Białorusi w istocie pozbawił ich działalność w kraju wszelkiej religijnej i cywilizacyjnej wartości. Świadomie wzajemnie się kompromitując obie misje kompromitowały jednocześnie autorytet moralny tej religii, którą usiłowały zaszczyć. Poza to zarówno Kościół katolicki, jak Cerkiew prawosławna stanowiły w niszczylielskim pochodzie obu imperjalizmów, najbardziej czynną awangardę ich politycznych armij, służąc celom bądź polonizacji, bądź to rusyfikacji.

Rozumie się, krytyczna myśl polityczna odrodzającego się narodu nie mogła pogodzić się z takim położeniem, zagrażającym narodowi całkowitem wynarodowieniem. Świadomość powyższego sprawia, że coraz wyraźniej występuje zrozumienie konieczności uczynienia z Kościoła istotnego ośrodka narodowego odrodzenia.

Zadanie to przyjmuje coraz bardziej realne kształty zagadnienia Białoruskiego Kościoła Narodowego, którym nie może być ani katolicyzm rzymski, historycznie nierozzerwalnie związany u nas z polskim imperjalizmem, ani też ściśle zjednoczone z moskiewskim imperjalizmem prawosławie.

Oba bowiem te wyznania niosą narodowi białoruskiemu słowo boże w niezrozumiałych dlań językach i przeto nie sięgają do jego duszy.

Już pierwsi pionierzy odrodzenia, naogół obojętnie się zapatrujący na sprawy wyznaniowe i religijne, wpadli na myśl sięgnięcia do przeszłości, do historycznej unji kościelnej, upatrując w niej nie zmarowane dotąd możliwości stworzenia białoruskiego Kościoła Narodowego.

Podlegającej restytucji unji wyznaczili oni podwójną rolę. Z jednej strony unja powinna być *cementem* spajającym wyznaniowo podzielony lud w jeden duchowy monolit.

Z drugiej strony, unja miała stanowić duchową *barjerę*, broniącą konsolidujący się naród białoruski przed wynaradawiającymi wpływami i zaborami ze strony obu „duchowych imperjalizmów”: rosyjskiego prawosławia i polskiego katolicyzmu.

Piszący te słowa rozmawiał w 1903 r. na ten temat z pewnym kandydatem do działalności misjonarskiej, lwowskim bazylijaninem o. Ł.

Niestety zamierzenia teoretyczne nie zawsze dają się zastosować w praktyce.

Z drugiej strony stan umysłów w owym czasie, jak zresztą i dzisiaj również, nie sprzyjał rozwojowi zagadnień religijnych wobec supremacji momentów społeczno-politycznych.

Nakreślony wyżej schemat unji tak i pozostał bardzo dalekim od realizacji, zachowując jednakże wartość kryterjum dla oceny z narodowo-białoruskiego punktu widzenia wszystkich tych prób wskrzeszenia unji, które były czynione dawniej i które są czynione obecnie, niestety, przy pomocy tych samych środków o nader wątpliwej wartości.

Z tego założenia wychodząc należy poddać re wizji pokutujący wśród licznych jeszcze u nas tradycjonalistów pogląd na dawną unję.

(Dokończenie nastąpi).

Privatissimus.

Z mego notatnika.

Marzenia i rzeczywistość.

W chwilach wolnych od podniecania siebie i swych czytelników błogą nadzieją rychłego rozpędzenia Sejmu i nowego zamachu stanu, p. Cat w „Słowie“ lubi snuć czasem rozległe plany wielkomocarstwowej polityki polskiej. Historyczne reminiscencje o potędze Rzplitej za czasów Jagiellonów i Batorych w tych rozważaniach zawsze odegrywają rolę bodźca, który ma pobudzić zgnuśniały 30 milionowy naród polski do czynu, do poruszenia ukrytych w jego tonie sił dynamicznych, do rozwinięcia szerokiego skrzydeł, do orlich wzlotów.

Cóż, chęci niewątpliwie chwalebne i czyż można komu mieć za złe, że tęskni do czasów minionej świetności, że pragnie ich wskrzeszenia i że nie może się pogodzić z szarą, nieciekawą rzeczywistością? Słusznie ktoś powiedział, że marzenia są kładką, zabezpieczającą przed utonięciem w bagnie pospolitości. Ale p. Cat nie jest publicystą, zapatrującym się na życie po literacku, chce on uchodzić za polityka realnego, operującego materiałem faktycznym, obliczającego na trzeźwo szanse i możliwości. Jakże rażąco odbijają te wizje przeszłości i sny o potędze od konkretnej rzeczywistości!

Przedewszystkiem polityk nie może się posługiwać urojonemi danemi, do których należy w pierwszym rzędzie cyfra 30 milionów Polaków (fikcja ta jest tak rozpowszechniona, że nawet marszałek sejmu Daszyński w liście otwartym do prof. Bartla powołuje się na nią). W istocie ludność polska w granicach państwa polskiego wynosi trochę więcej niż 20 milionów, przeszło 10 milionów zaś przypada na inne narodowości, po większej części usposobione niechętnie względem państwowości polskiej. Jeżeli więc ktoś chciał wyrazić za pomocą formuły matematycznej siłę aktywną państwa polskiego, to rezultat wypadłby taki: $20x - 10y$. To będzie rachunek trzeźwy, ale jakże mało zachęcający do tworzenia koncepcyj o skali niemal globalnej, do czego tak pochopny jest p. Cat.

P. Cat podkpiwa z „niektórych publicystów wileńskich, co potrafią miesiącami pisać o jednej szkole białoruskiej“. P. Cat woli całemi latami pisać o planach mocarstwowych Żółkiewskiego i Władysława IV. Ale wielkie zamierzenia Władysława IV rozbiły się, jak wiadomo, o egoizm szlachty polskiej, nie rozumiejącej kwestji ukraińskiej i nie zdolnej do jej rozwiązania. Otóż i dziś rozległe projekty p. St. Mackiewicz, w których Cerkiew prawosławna ma stać się dźwignią w polskiej polityce wielkomocarstwowej,

pomijając wszystkie inne względy, a przedewszystkiem dysproporcję sił, skazane są na niepowodzenie dlatego chociażby, że Polska tak samo jak dawniej nie jest zdolną do rozwiązania ani problemu białoruskiego ani ukraińskiego.

Złą przysługę wyświadczają swemu społeczeństwu ci publicyści, co jak p. Cat, odrywają jego uwagę od spraw codziennych, od zadań realnych, zaprawiając je do bujania po obłokach, zamiast chodzenia po ziemi. Nie należy zapominać o przytoczonej wyżej formule matematycznej. Dopóki y będzie wielkością ujemną, państwo polskie do żadnej ofensywy politycznej nie będzie zdolne. A y nie stanie się wielkością dodatnią, dopóki o jednej szkole białoruskiej trzeba pisać miesiącami...

Cała bieda polega na ten, że polityka i publicystyka polska lubi wchłaniać wiatr od morza a nawet oceanów a chroni starannie swe płuca przed byle podmuchem z rodzinnego Niemna i Narocza.

W świetle cyfr.

Spotkał nas kiedyś zarzut, że krytykując działalność żywiołów napływowych, organizujących w naszym kraju kółka rolnicze, spółdzielnie wytwórcze rozmaitego typu, kasy Stefczyka i t. p., powodujemy się stronniczym uprzedzeniem i niedoceniaamy dodatnich stron w tej pracy nad podniesieniem poziomu życia społeczno-ekonomicznego naszej wsi.

Zarzut najzupełniej niesłuszny. Gdyby wspomniana działalność była oparta na podstawach racjonalnych, na samopomocy społecznej, gdyby nie dążyła do celów ubocznych, nie mających nic wspólnego z dobrobytem ludności, gdyby się nie posługiwała często fikcjami, słowem, gdyby nie budowała przysłowiowych pałaców Potiemkina, lecz wznosiła skromne domki na trwałych fundamentach, pierwsi byśmy przyklasnęli tak pożytecznym poczynaniom i gotowi bylibyśmy uznać zasługi w całej pełni przedsiębiorczych osadników małopolskich w dziedzinie uspołecznienia i ukulturalnienia naszej ciemnej ludności wiejskiej.

Niestety wszystko prawie, co zostało u nas przez ten żywioł zbudowane, posiada wybitną cechę sztuczności i nietrwałości. Przy pierwszym podmuchu burzy rozleci się to wszystko jak domek z kart, nie pozostawiając po sobie głębszych śladów. Ludność, nie przyzwyczajona do radzenia sobie o własnych siłach, prowadzona na pasku, z chwilą ustania dopływu subsydjów i kredytów ze strony Warszawy, znajdzie się w tem samem położeniu opłakanem masy biernej i niezorganizowanej, jak w czasach przedwojennych.

Subsydja i subwencje rządowe zbyt wielką bowiem rolę odegrywają w całej tej akcji kulturtregerkiej, a korzysta z nich nie ludność miejscowa, lecz pośrednicy-organizatorzy, otrzymujący wcale przyzwoite wynagrodzenie i diety za swoją misję społeczno-oświatową.

Mam właśnie przed sobą preliminarz budżetowy Związku Kółek i Organizacji Rolniczych ziemi Wileńskiej na rok 1929—1930. Zamyka się on pożądaną cyfrą 623.815 zł. Z tego związek z własnych środków pokrywa zaledwie 200.634 zł., resztę t. j. 423.181 zł. (czyli przeszło dwa razy tyle) pokrywa z subwencji Min. Rolnictwa. Oczywiście udzielanie przez ministerstwo zapomóg tego rodzaju organizacjom co Związek Kółek Rolniczych jest zjawiskiem zupełnie normalnem, ale gdy subsydjum wynosi blisko 70% budżetu, to wtedy organizacja traci cha-

rakter zrzeszenia społecznego i staje się zwykłą instytucją biurokratyczną, uzależnioną w swym rozwoju od dyrektyw postronnych, nie dającą pola do inicjatywy prywatnej.

Bardzo jest charakterystyczny szczegół, że wydatki osobowe w preliminarzu budżetowym o wiele przewyższają wydatki rzeczowe, pobory zaś wszystkich funkcjonariuszy są obliczone według wzorów biurokratycznych, przyczem zastosowane są normy niemal ministerjalne. I tak kierownik Związku i kilku inspektorów poszczególnych działów otrzymują wynagrodzenie według V stopnia płac (więcej niż starostowie), cały szereg inspektorów według VI stopnia płac, rozmaici instruktorzy i agronomowie powiatowi według VII i VIII stopnia płac i zaledwie kilku całkiem podrzędnych urzędników — według IX stopnia płac. W każdym prawie dziale ponadto koszty podróży i diety inspektorów i instruktorów stanowią 50% ich poborów. Nic dziwnego, że utrzymanie całego tego aparatu fachowego jest tak kosztowne.

Nic nie można mieć oczywiście przeciwko temu, że rząd nie żałuje pieniędzy na szerzenie wiedzy rolniczej wśród naszej ludności i że dobrze wynagradza tych, którzy tę funkcję spełniają, ale dlaczego nie nazwać rzeczy po imieniu i nie powiedzieć wprost że jest to akcja rządowa, rola zaś rzekomych kulturregerów: osadników i „naprawiaczy“ sprowadza się do sprytnego wyzyskiwania usiłowań rządowych w celu obsadzania wpływowych stanowisk przez swoich ludzi i osiągnięcia tą drogą wpływów politycznych wśród ludności miejscowej?

A tak się dzieje nie w jednym tylko związku kółek rolniczych.

Licz.

Arcybiskup Hryniewicki.

D. 14 b. m. zmarł we Lwowie w wieku lat 89 arcybiskup Karol Hryniewicki, który dwukrotnie odegrał wybitną rolę w dziejach Wilna.

Raz — przed 45 laty, gdy objął rządy diecezji wileńskiej po kilkunastu latach anarchji i ostatecznego rozprzężenia w szeregach duchowieństwa. Wówczas na stanowisku biskupa wileńskiego położył dla Kościoła katolickiego ogromne zasługi, przywracając ład i porządek w zdezorganizowanej diecezji, walcząc bezwzględnie z zepsuciem, zainicjowaniem przez słynny triumwirat księży Żylińskiego, Niemekszy i Tupalskiego, a jawnie popieranem przez rząd rosyjski.

Gwałtowna i porywczą naturą ks. biskupa Hryniewickiego nie mogła się nałamać do trudnych ówczesnych warunków politycznych, to też rządy jego w Wilnie nie długo trwały. Po dwóch latach, w styczniu 1885 r. wezwany telegraficznie do Petersburga, więcej już do Wilna nie wrócił. Zmuszony był osiąść na wygnaniu w Jarosławiu, gdzie przebywał do 1890 r. Po zrzeczeniu się godności biskupa wileńskiego otrzymał pozwolenie na wyjazd zagranicę i osiadł na stałe w Galicji, gdzie dokonał żywota.

Po raz drugi arcybiskup Hryniewicki zetknął się ze swą dawną diecezją w latach 1919 — 1920, gdy nie zważając na sędziwy wiek i trudy dalekiej podróży zawitał do Wilna, by swoim autorytetem biskupa-wygnańca wesprzeć agitację obozu wszechpolskiego za wcieleniem Wileńszczyzny do Polski. Liczne jego przemówienia i wywiady z redakcją „Rzeczpospolitej”, w których wykazał zupełny brak orientacji i zrozumienia zmian, jakie zaszły w stosunkach

wyznaniowych i narodowościowych w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat, w niemałym stopniu przyczyniły się do rozbudzenia w tłumach wileńskich uczuć skrajnego szowinizmu i płytkiego patryotyzmu polskiego. Dwukrotny jego pobyt w owym czasie w Wilnie pozostawił po sobie wrażenie niewybrednej demagogji, zrećcznie wyzyskiwanej przez endeckich agitatorów.

Jako najstarszy wiekiem poseł do sejmu wileńskiego otworzył obrady i wygłosił przemówienie, zaklinając, aby powzięto uchwałę inkorporacyjną. Na stanowisko posłów włościańskich głos arcybiskupa oczywiście nie pozostał bez wpływu. Gorącym jego życzeniem stało się zadość.

Zadowolony ze spełnienia swego obowiązku obywatelskiego odjechał ks. arcybiskup do Lwowa, nie troszcząc się o dalsze losy swego rodzinnego kraju. Zmarł na obczyźnie i tam też został pochowany.

z.

Nowa wiosna ludów.

Gdy mowa o kwestji narodowościowej w Polsce, musimy mieć zawsze na uwadze, że świat dzisiaj cały przeżywa gorącą narodowościową, o wiele głębszą i intensywniejszą, aniżeli to było za czasów „wiosny ludów”.

Na ziemiach rosyjskich, austriackich, niemieckich, tureckich powstają lub raczej odradzają się dawne państwa — Polska, Czechy, Serbja, emirat Haruna Al Raszida... Persja Magów i Sassanidów porywa się z tysiącletniego uspienia... Zmartwychwstaje świat arabski, Irlandja zdobywa wreszcie Home-Rule, Afganistan traktat w Ravalpiadi, Turcja traktat lożański, Indje — Indian Bill, Egipt króla, Tripolis „statuto”, Algier delegację finansową.

Od Atlantyku do Peczili, od Katalonji do Siamu, od Korei do Filipinów — pisze p. Roger Labonne w „Le Corespondent” — rozpala się równocześnie ta gorączka. Legjony agitatorów, aspirujących do roli Boliwarów wychodzą ze wszystkich zakątków świata: Sun Jat Sen, Mahamata Ghandi, Zaghlui, Mustafa Kemal, Szeik Taalibe, Sulejman i Baruni, Abd el Krim, de Valera... Na ich zawołanie, gdy ścichły ostatnie gromy armat rozbudzone narody występują do zdobycia swoich praw narodowych. Wiele pada w drodze, inne zwyciężają przeszkody i dochodzą do celu. Jedne z nich tworzą grupy samodzielne, w Finlandji, Łotwie, Estonji, Litwie, Mongolji, inne łączą się ze swymi braćmi, jak Francuzi z Alzacji, Duńczycy ze Szlezewiku, Rumuni z Transylwanji, Włosi z Trentino, Grecy z Tracji, Kroaci z Zagrzebia... Wszędzie panuje pożądanie niezawisłości, swobody, partykularyzmu, a fale tego ruchu uderzają o brzegi najmocniej zda się ubezpieczone, przybierają charakter autonomizmów alzackich, katalońskich, flamandzkich, bretońskich i t. p.

Rzadko stary świat poruszany był przez tak zapalną i szeroką egzaltację. Najmniejsze narody odbudowują swoje narzecza, gwałtownie odszukują w zamierzchłej przeszłości swoje pralegendy i usiłują konstruować nowe własne ojczyzny. I co uderza, to fakt, że najgorętsi apostołowie tych ruchów bardzo często nie należą do rasy, której z najgorliwszym entuzjazmem służą, Turcy gromadzą się dokoła Bułgara Kemala, Chińczycy dokoła Mongola Feng Jn Sienga, jak oni Węgrzy dokoła Kroata Kossuta, Irlandczycy dokoła Anglika Parnella, Włosi dokoła

Niemca Oberdanka, nie mówiąc już o Kozaczyźnie, którą porwał szlachcic polski Chmielnicki.

Powrotowi do zapomnianych często narzeczy towarzyszy wyszukiwanie barw narodowych i emblematów heraldycznych, jak zielony sztandar Irlandczyków, gwiazda sionistów, cztero-kolorowa chorągiew republiki Południowo Afrykańskiej, albański orzeł czarny, krzyż finlandzki i t. d.

Powstają na tle tej egzaltacji i zjawiska nieoczekiwane. W Stanach Zjednoczonych, gdzie przesady etniczne grają tak doniosłą rolę, kandydat na wiceprezydenta p. Curtiss dumny jest z tego, że w jego żyłach płynie krew czerwonoskórych, jako w potomku Pawhuski, wielkiego wodza plemienia Osągów. W Meksyku i zwłaszcza w Paragwaju panuje sui generis arystokratyzm potomków Conquistadorów... W Rosji spozstrzegamy ruch euro azjacki... W Afryce północnej odradza się ruch berberyjski... Francuzi z Kanady odbywają pełne pietyzmu wędrówki do starych miast swoich przodków-emigrantów, do Granville, Cancale i Noirmoulters. Normanja dumna jest z Wikingów... Wyemancypowała się Irlandja. W Edynburgu marzą o szkockim Home-Rulu... A na olbrzymich przestrzeniach ex-caratu rosyjskiego odbywa się niemniej ciekawy ruch narodowościowy, wspierany gorliwie w celach partyjnych i propagandowych przez zdecydowanie kosmopolityczną III Międzynarodówkę.

Wszystko to w zespole tworzy poważne zjawisko społeczne. Nie uwzględniać powyższych przesłanek byłoby nietylko lekkomyślnością, lecz i notorycznym absurdem... Zaś wszelkie próby zastosowania do tej kwestji frazesowego dyletantyzmu tylko do najniebezpieczniejszego szkodnictwa zaliczone być powinno — słusznie konkluduje p. E. P. w „Czasie“ krakowskim.

Przegląd prasy żydowskiej.

Ostatnia sesja sejmowa obfitowała w projekty, mające na celu uregulowanie szkolnictwa niepolskiego. Na ręce marszałka sejmu złożone zostały aż 4 projekty o szkolnictwie mniejszościowym w Polsce.

Najpierw taki projekt wnieśli Ukraińcy. Ich wniosek traktuje o szkolnictwie ukraińskim, białoruskim i litewskim. Szkolnictwo niemieckie we wniosku ukraińskim pominięto. Niemcy przeto zgłosili swój własny wniosek, traktujący wyłącznie o szkolnictwie niemieckim. Trzeci, wniesiony przez koło żydowskie, ma na względzie szkolnictwo żydowskie i hebrajskie. Wreszcie czwarty wniosek, złożony przez P. P. S. reguluje szkolnictwo wszystkich mniejszości państwo polskie zamieszkujących z wyjątkiem mniejszości żydowskiej, dla której ma być zgłoszony oddzielny projekt po porozumieniu się z socjalistami żydowskimi.

Jakkolwiek obecnie po zamknięciu sesji sejmowej wszystkie te projekty straciły swoją aktualność, jakkolwiek wszystkie te projekty nosiły zrazu przy samem ich złożeniu tylko charakter demonstracyjny i nigdy nie miały żadnych szans urzeczywistnienia, tem niemniej wywołały one ogromne zainteresowanie w społeczeństwie żydowskim i do dziś dnia kwestja ta nie schodzi ze szpalt prasy żydowskiej.

P. B. Zynger porusza na łamach „Wilner Tog” kwestję ominięcia we wniosku pepesowskim szkolnictwa żydowskiego. Podaje on w wątpliwość szczerść intencji projektodawców i wyraża przypu-

szczenie że wniosek P. P. S. ma na widoku tylko wywołanie efektu dla zamydlenia oczu mniejszościom.

Dlaczego — pyta p. Zynger — P. P. S. nie porozumiała się z socjalistami żydowskimi przed wniesieniem swego projektu szkolnego? Dlaczego tu powtórzone te same figle, jakie zastosowali w swoim czasie p. p. St. Grabski i Thugutt przy wypracowaniu swych słynnych projektów językowych? Kto zna skład obecny P. P. S., poglądy p. Czapińskiego w kwestji mniejszości żydowskiej, stanowisko p. Pragiera w sprawie szkolnictwa żydowskiego, tego nowe to posunięcie pepesowców bynajmniej nie zadziwi.

Jest rzeczą powszechnie wiadomą — pisze dalej p. Zynger, — że wniosek P. P. S. ma wyłącznie charakter platoniczny, że ma on służyć P. P. S. owcom jedynie jako dowód dobrej woli przy przyszłych wyborach. Swych dobrych chęci względem mniejszości P. P. S. ani razu nie wykazała w owych pamiętnych czasach, gdy klub pepesowski wespół z mniejszościami rozporządzał większością w Sejmie. Wtedy P. P. S. uparcie milczała.

Do Komitetu Rzecznawców dla Spraw Mniejszościowych wydelegowała swego towarzysza partyjnego p. Wasilewskiego, który problem narodowościowy w Polsce przeobraził w kwestję załatwienia paszportów i reorganizacji administracyjnej.

I p. Zynger kończy:

„Pierwsze poczynania P. P. S., wbrew roztrąbieniom ich przez „Robotnika”, nacechowane są dwulicowością i platonicznością. Wnioski szkolne pepesowskie są ogromnie spóźnione, a zasada „kromie jewrejew”, którą są one przesiąknięte rzucają prawdziwe światło na program narodowościowy Polskiej Partji Socjalistycznej”.

Tę samą niewiarę w szczerść pepesowskich projektów żywi również sejmowy korespondent „Cajtu” p. B. Chiliniowicz. Stawia on pytanie: dlaczego akurat teraz po dziesięciu latach niepodległości dojrzał w szeregach P. P. S. problem narodowościowy w Polsce? I. p. Chiliniowicz odpowiada:

„P. P. S. i jej towarzysze przeżywają teraz ogromny kryzys. Muszą oni przyjąć wezwanie jedyńki do walki z rządem. Nie mogą się już teraz cofnąć. Muszą więc zrzec się do pomocy mniejszości, by ich pogroźki o „gniewie ludu” wywołały silniejszy efekt”.

Członek sejmowej komisji oświatowej poseł dr. Wygodzki rozpatruje na szpaltach warszawskiego „Momentu” kwestję możliwości uzgodnienia wszystkich czterech złożonych do Sejmu projektów szkolnych tak, by został stworzony jeden projekt kompromisowy, za którym by głosowały P. P. S. i cała lewica polska i mniejszości. Taki uzgodniony projekt — powiada dr. Wygodzki — miałby szanse zdobycia większości głosów.

„Lecz — pisze poseł dr. Wygodzki — projekty te tak się różnią między sobą i sprawa uzgodnienia ich jest tak skomplikowana, iż wątpić trzeba, czy to się wogóle przynajmniej w bliskiej przyszłości uda”.

Konkluzja dr. Wygodzkiego jest następująca:

„Nie ma żadnych widoków na to by, problem szkolnictwa żydowskiego w Polsce był w bliższej przyszłości chociażby w ramach minimalnych rozstrzygnięty. Wniosek szkolny Koła żydowskiego ma więc na celu zademonstrowanie na forum publiczne żydowskich żądań szkolnych, co wobec niedomagań w naszym szkolnictwie posiada zawsze pewną wartość”.

J. H.

Odezwa litewska o pomoc dla głodnych.

Ponieważ do Komitetu pomocy ofiarom nieurodzaju w Wileńszczyźnie nie wchodzi przedstawiciele społeczeństwa litewskiego Zarząd Centralnego Komitetu Lit. T-wa Dobroczynności postanowił ująć w swe ręce akcję pomocy ludności litewskiej. W tym celu Zarząd wydał odezwę, nawołującą społeczeństwo litewskie do przyjęcia z pomocą przedewszystkiem dzieciom, uczęszczającym do prywatnych szkół litewskich, a w miarę możności i dorosłym. Odezwę podpisali K. Stazys, ks. K. Czybiraś, K. Welecki, ks. N. Rasztulis i W. Budrewicz

Ofiary, złożone w Redakcji.

Gimnazjum im. Zofji Kaleckiej w Warszawie. — Zł. 110 dla głodnych w Wileńszczyźnie bez różnicy narodowości i wyznania.